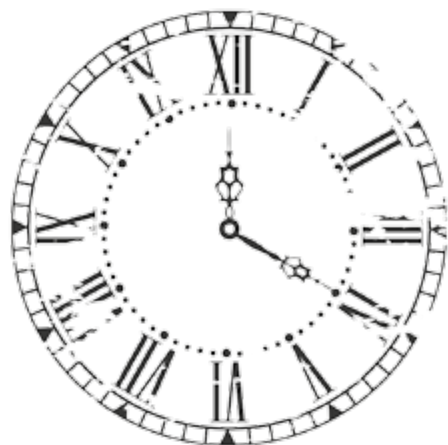


ARKADIUSZ NIEMIRSKI

TESTAMENT BIBLIOFIŁA



**Wydawnictwo Skrzat
Kraków**

1

W nocy ciężkie chmury napłynęły z południa i wydobyły z kalendarza kolejny lipcowy dzionek. Zmiana pogody zaowocowała o świcie rzęsim deszczem, wkrótce stalowa pierzyna sennie wisiała nad jeziorem, złorzecząc jutrzence groźbą biblijnego potopu. Deszcz wybijał jednostajny rytm o dachówki i usypiająco szemrał w zaniedbanym ogrodzie otaczającym willę, wstrząsał drzewkami bzu i magnolii, policzkował rynnę jeziora oraz ścianę lasu, zaczynając się tuż za ogrodzeniem. To przez ten deszcz piętnastoletni Marek nie usłyszał wchodzących do domku ludzi. Drzemał jak ostatni włóczęga w przestronnej kuchni, w której solidnie zabite deskami okno wychodziło na dawny ogród i las.

Obudziła go dochodząca zza ściany rozmowa dwóch osób, zagłuszana szumiącym na zewnątrz deszczem.

Zerwał się gwałtownie, słysząc czyjeś kroki.

– Widział pan? – gderiała jakaś niewiasta. – Zbita szyba...

Złodzieje!

Markowi zabiło mocniej serce.

– Dranie włamują się do domów letniskowych – odpowiedział sapiący mężczyzna. – Bandyckie czasy!

– Niech pan się zatrzyma. Zadzwoń na policję!

– Spokojnie – obruszył się starszy mężczyzna. – Zapomina pani, kim jestem. Posiadam licencję detektywa! W kaburze mam broń i umiem dać w pysk, kiedy trzeba. Tylko spokojnie.

– Detektyw Malanowski się znalazł.

Nagle zaczęła nasłuchiwać.

– O tam – zapiszczała. – Słyszał pan?

– Co takiego?

– Na miłość boską! Jest pan głuchy? Słyszałam jakiś szmer.

– Szmer? Nie zdawało się pani? Pewnie mysz.

Zapanowała nieznośna cisza. Marek wstrzymał oddech. Przyłgnąwszy do ściany tuż za kuchennymi drzwiami, zastanawiał się, co takiego mogła usłyszeć ta nerwowa kobieta. Czyżby potrafił któryś z przedmiotów walających się po zaśmieconej podłodze?

Nagle struchlał. Otworzyły się drzwi. Ktoś w milczeniu, trwającym dla chłopaka całą wieczność, oglądał kuchenne pomieszczenie. Marek czuł zapach deszczu, jaki intruz przy-

niósł ze sobą. Jak na złość nie zabrał z podłogi swego plecaka, ale ginął on wśród rupieci. Na szczęście facet szybko zrezygnował z oględzin pomieszczenia i dołączył do kobiety stojącej w holu. Przeszli do innego pokoju i dopiero wtedy chłopak odetchnął z ulgą.

– Widzi pani? – przekonywał mężczyzna za ścianą. – Nie ma nikogo. Lepiej poszukajmy jakiejś komody...

– Komody? – Kobieta zachichotała nerwowo. – To pan sądzi, że mój świętej pamięci ojciec trzymał w komodzie klejnoty? Nawet gdyby tutaj była jakaś komoda, złodzieje dawno by wszystko wynieśli. A najprędzej zrobiłaby to jego kochanica. Pewnie wszystko stąd zabrała, zdzira jedna. I dobrze pan wie, że ojciec przed śmiercią oddał cenne rzeczy w depozyt do notariusza.

– Spokojnie – sapnęła mężczyzna. – Widzę tu biurko. O tam! Jest też szafka. Tak mi się tylko powiedziało z tą komodą. Równie dobrze mogłem wymienić futerał na skrzypce. Co się z panią dzieje? To pani mnie namówiła na tę podróż! I to w taki deszcz.

Marek słyszał ich kroki, potem odgłosy świadczące o mocowaniu się z zamkiem mebla.

– Ja pana namówiłam?! Może i namówiłam! A co, sama miałam tu przyjechać?

Przez pewien czas krzątali się i stukali w meble i ściany.

– Co za pech – przerwała ciszę kobieta. – Zamknięte.

– Przecież tłumaczę pani od samego poznania...
– Od Poznania wcale nie rozmawialiśmy, bo jechaliśmy osobno.

– Od naszego poznania – to chciałem powiedzieć. Od chwili, gdy mnie pani wynajęła. Wyjaśniałem już, że robię w tym fachu dwadzieścia lat i rozwiązałem wiele spraw. Doświadczenie, droga pani. Zamki też umiem otwierać. Byle zameczek w biurku to dla mnie pestka...

– Nie trzeba go otwierać. Ktoś wyrwał tylną ściankę! O, proszę!

– Ożeż ty kartofel, złodzieje – mruzczał niezadowolony detektyw. – Rzeczywiście tu byli.

Chłopak wsłuchiwał się w każdy dźwięk dochodzący z gabinetu, bo tam właśnie „urzędowała” para, która zaskoczyła go nagłym wtargnięciem. Przyszedł tutaj w nocy, zmęczony i potwornie głodny; na szczęście znalazł opakowanie starych sucharów, potem znużony zasnął. Spał z małymi przerwami do chwili, w której tych dwoje go zbudziło.

To nie byli zwykli włamywacze, o nie! Mężczyzna kilkakrotnie zapewniał kobietę, że jest detektywem. Zresztą to ona go wynajęła. Była córką właściciela domu – sama wspominała o „świętej pamięci ojcu”. Jej zachowanie świadczyło, że przyszła z detektywem po konkretny przedmiot.

– Co pan robi?! – Krzyk kobiety wypełnił wnętrze domu. – Proszę to zostawić!

– Nie czyta pani powieści kryminalnych? Podejrzani często trzymają cenne rzeczy pod podłogą. Próbuję oderwać część klepek. Widzi pani tę jedną, lekko wyniesioną ponad parkiet?

– Po pierwsze, mój ojciec nie jest żadnym podejrzanym – fuknęła. – A po drugie, ta willa może kiedyś należeć do mnie.

– Przecież pani ojciec zapisał ją gminie na przyszłe schronisko dla bezdomnych – zauważył detektyw.

– Odbierzemy im to prawo! – uniosła się. – Już ja się o to postaram. Gmina nie ma pieniędzy na schronisko i jak tylko zdobędę spadek, odkupię ten dom. A jak już będzie mój, nie mam zamiaru mieszkać w jakiejś ruderze. Zaraz... a po co ja właściwie pana wynajęłam? Miał pan znaleźć tę kobietę!

– Szukam jej – zapewnił bez przekonania. – I znajdę. Pytałem nawet sąsiadów o jego przyjaciółkę. Niestety, ostatni raz widziano ją tutaj pięć lat temu. Nikt nie potrafi jej opisać, nikt nie wie, kim jest. Najbliższy dom znajduje się około kilometra na południe, a pani ojciec stronił od ludzi. Nikogo tu nie zapraszał. Zero znajomych. Wprawdzie niedaleko, nad jeziorem, jest ośrodek, ale tam bawią wczasowicze i turyści. Tylko na zamku w Kórniku dobrze go pamiętają. Uważam jednak, iż dom należy dokładnie zbadać. Ona z nim tu mieszkała... może natrafimy na jej trop. Zresztą to pani nalegała, żebyśmy tu przyjechali.

– Tylko że tu nic nie ma.

– Tego nie wiemy. Trzeba tutaj wszystko dokładnie przesukać. Wszystko! Inaczej nie odgadniemy hasła.

– Chwileczkę, czy ja dobrze słyszę? – zachnęła się. – Pan chce odgadnąć hasło? Dobrze sobie! A póki co demoluje pan willę! Nie, nie, nie! Podłogi ruszać nie pozwolę.

– Droga pani – sapał poirytowany detektyw. – Każdy szczegół z życia pani świętej pamięci ojca może być pomocny w odgadnięciu hasła. Wiem, wynajęła mnie pani, żebym odszukał przyjaciółkę pana Karskiego, lecz mogę okazać się przydatny także w sprawie tego całego zakichanego zaklęcia. Przyjaciółka wcześniej czy później się znajdzie. A tak między nami to nie za bardzo rozumiem, po co pani interesuje się tą kobietą? Minęło pięć lat, odkąd ze sobą skończyli. Lepiej spożytkować czas i energię na odgadnięcie hasła. Widzi pani... gdybym tak dostał jakieś listy pana Karskiego, notatniki, książki...

– Nie mam ani jednego listu – zapewniła. – Nie mam nic! Ojciec zabrał wszystko, kiedy wyprowadził się z Poznania. Tutaj nikt z nas go nie odwiedzał. Wszystko, co ojciec zostawił po sobie, jest u notariusza. Chyba nie włamie się pan do gabinetu mecenasa Czaplńskiego?

– Jestem detektywem, nie złodziejem.

Marek ostrożnie wyściubił nos z kuchni. Miał zamiar opuścić starą willę. Teraz albo nigdy. Nadarzała się ku temu świetna okazja, para bowiem, całkowicie pochłonięta dyskusją o nieboszczyku, znajdowała się w gabinecie mieszczącym

się w innej części domu. Zaciekała go ta rozmowa, ale musiał stąd zwiewać. Nie powinni go tutaj zastać. Z detektywem nie było żartów – facet nosił przy sobie broń i pracował w tym fachu więcej lat, niż liczył sobie Marek.

– Wciąż pan powtarza, że jest detektywem, a jakoś nie może pan się wywiązać z zadania – doleciał chłopaka poirytowany głos. – Szczegóły dotyczące naszej rodziny nie powinny pana interesować. Nie pańska sprawa! Pan ma tylko znaleźć tę dzirę, jego kochanicę.

– To fakt, co mnie to obchodzi. – Mężczyzna sapał jak hipopotam. – Ale widzi pani, jako detektyw różne dziwne rzeczy widziałem i słyszałem... takie, wie pani, o których nie śniło się nawet filozofom... więc mogę pani pomóc nie tylko z tą kochanicą, ale i z hasłem. Moim zdaniem to fakt, że pani ojciec był... jakby tu powiedzieć... zakręcony...

– Zakręcony? – parsknęła sarkastycznie. – Tak o nim mówi mój braciszek. Ja używam innego określenia. Szurnięty. No, śmiało! Jaki był, pana zdaniem, nasz ojciec?

– Uważam waszego ojca za dziwaka! To chciałem powiedzieć. Wielki dziwak! Nic ponadto. Człowiek, który po śmierci zostawia rodzinie płytę CD z instrukcją zdobycia spadku, i do tego chronioną hasłem, musi być wielkim dziwakiem. Niech mi pani wierzy, śledziłem w życiu wielu ludzi, nagrywałem zwierzenia zazdrosnych kobiet i oszukanych mężów, łapałem na gorącym uczynku bachory opróżniające rodzinne

sejfy, znajdowałem wreszcie grzeczne panienki w miejscach, w których nie powinny przebywać, ale takiej sprawy jak ta jeszcze nie miałem. Nigdy nie spotkałem takiego dziwaka jak pani świętej pamięci ojciec.

– Za dużo pan gada. Nie za to panu płacę.

Rozmowa intruzów była coraz bardziej interesująca, lecz Marek musiał, niestety, uciekać. Zabrał plecak. Szedł na palcach korytarzem w stronę salonu, ku otwartym drzwiom prowadzącym na mokry taras. Skradając się, mimowolnie słuchał dialogu zagłuszanego przez pochlipujący deszcz.

– To fakt – odezwał się niepocieszony detektyw. – Nie za to mi pani płaci. Staram się pani tylko uzmysłwić, że zagadkę można rozwiązać na dwa sposoby. Można myśleć tak jak pani ojciec... to znaczy wczuć się, że tak powiem, w jego psychikę... pogrzebać trochę w jego papierach i książkach i może wtedy uda się wpaść na to przeklęte hasło. Nie ma jednak gwarancji, że komukolwiek uda się je odgadnąć. Jestem człowiekiem prostym, praktykiem, i nie potrafię wczuć się w psychikę ludzi podobnych do pani ojca, dlatego stosuję mniej subtelne metody, a mianowicie szperam w szafkach, włamuję się do sejfów, a czasami zrywam klepki w podłodze. Taki mam fach, droga pani. I powiem szczerze, tak między nami, to niezła metoda.

– Zrywać klepek nie pozwolę!

– Pięknie – westchnął ciężko. – Tylko jeśli my tego nie zrobimy, to przyjdzie tu pani siostra, może nawet braciszek, i zrobią to za panią. Oni nie będą mieć skrupułów.

– Ha, ha! – wybuchła gromkim, nieco szyderczym śmiechem kobieta. – Przecież Patryka nie interesują sprawy majątkowe. On nawet pozbył się swojej płyty CD. Ma w nosie spadek! To młody kontestator, szczeniak! Kocha wiersze Wojaczka i piosenki Stinga. W tym roku nie dostał się na polonistykę, ale jak mu się uda, założę się, będzie wiecznym studentem. To romantyk. A forszą gardzi.

– Może dlatego, że zawsze ją miał – zauważył mężczyzna. – Od świętej pamięci ojca, rzecz jasna.

– Nie, nie. To Joanna go rozpieszczała po śmierci mamy. No, może trochę i ja.

– Ale za pieniądze ojca?

Zakłopotana Karska nie odpowiedziała.

– Wszystko jedno – mruknął detektyw. – No to założmy, że pani siostra...

– Joanna? – Kobieta wykrzywiła usta w lekceważącym grymasie. – To modelka, której marzy się wyłącznie kariera filmowa. Jest za głupia, żeby odgadnąć hasło.

– Tak pani sądzi? – zarechotał. – To ciekawe. Dlaczego więc ten jej wyperfumowany i elegancki chłoptaş, żabojad, ma tu przyjechać?

– Że co?! – zaniepokoiła się kobieta. – Tu? Do Kórnika? Skąd pan wie, że ma przyjechać jakiś żabojad?

– Ile razy mam pani powtarzać, że jestem detektywem? Otóż śledziłem kochanków i podsłuchiłem ich rozmowę w kawiarni „Azalia” w Poznaniu.

– Zna pan francuski? – zdziwiła się.

– Nie muszę. Rozmawiali po polsku.

– Dlaczego pan to zrobił? Nie prosiłam pana o to.

– Przepraszam. Skrzywienie zawodowe.

– I co? – przerwała mu zainteresowana. – Mówili coś o spadku?

– Oni, proszę pani, mówili wyłącznie o spadku. Pani śliczna siostra jest pewna, że pierwsza odgadnie hasło wymyślone przez waszego ojca i zdobędzie jego skarb. Dlatego chcę pani pomóc.

– A to głupia gęś! Ja jej pokażę! – piekliła się kobieta. – Przecież ona nie potrafi rozwiązać prostej krzyżówki. Proszę jej rzucić hasło „imię Aleksandra Macedońskiego”, a pół godziny będzie się zastanawiać, co wpisać. Zaraz, zaraz, dopiero teraz mi pan o tym mówi?! O jakimś żabojadzie?!

– Miałem zamiar powiedzieć wcześniej, ale jakoś nie było okazji.

W korytarzu zatrzeszczała upiornie klepka, na którą nadeptał Marek. I stało się to, co było nieuniknione. Rozmowa urwała się w mgnieniu oka, co stanowiło oczywisty znak,

że para rozmawiająca w gabinecie usłyszała go. Chłopak nie czekał dłużej i rzucił się w stronę tarasu, mając w nosie konspirację. Teraz liczyło się tylko to, żeby opuścić dom, zanim dorwie go ten detektyw. Biegł szybko ile sił w nogach ku uchylonym drzwiom, a odgłos jego własnych kroków nie potrafił zagłuszyć dudnienia za ścianą. Jakby biegł tam hipopotam.

Dzieliły go dosłownie kroki od wyjścia, gdy na jego plecy zwała się góra mięsa. Detektyw był szybki jak na swój wiek i wagę. A przy tym potwornie sapał – co najmniej jak dwa hipopotamy. Zderzenie z nim groziło kalectwem, to tak jakby wpaść pod lokomotywę. Tym bardziej było to niebezpieczne, bo Marek był drobnej postury. Jak na swoje piętnaście lat był niski, co zresztą skazywało go na nieustanne docinki ze strony rówieśników i dorosłych i utrwalało w nim kompleks niższości. Najbardziej bolały go kąśliwe uwagi na temat jego wzrostu wygłaszane przez dziewczyny.

W tej chwili jednak martwił się wyłącznie o swoje kości. Krzyknął w chwili zderzenia z twardą podłogą i poczuł ból przeszywający cały bok. Wstrząs stanowi doskonałą terapię na wszelkie bóle świata, pod warunkiem że się przeżyje.

* * *

Przyduszony cielskiem detektywa leżał oszołomiony na podłodze. Przeżył. W uszach brzmiał mu krzyk kobiety, lecz dochodził jakby z oddali. Potem wykręcono mu ręce – raz, dwa,

trzy – usłyszał szcęk metalu i poczuł chłód kajdanek zaciskających się na nadgarstkach. W głowie mu szumiało i cały dygotał. Zaraz jednak silne ręce ustawiły go w pionie. Siedział na podłodze, zwrócony twarzą w stronę wystraszonej brunetki ubranej w przemoknięty, brązowy płaszcz ze skóry.

– Mam cię, szczeniaku! – sapał za jego plecami detektyw. – Widzi pani, mamy łobuza!

– O Jezu! – darła się wzburzona. – A mówił pan, że tu nikogo nie ma!

– Blefowałem. Rozumie pani? Ha, ha. Blefowałem. Żeby drania wywabić z nory! Widziałem w kuchni jego plecak.

Marek próbował wyszarpnąć ręce z kajdanków.

– Nie szarp się, gówniarzu! Nic ci to nie da.

– Ależ ten smarkacz mnie wystraszył.

Prawie czterdziestoletnia córka zmarłego właściciela willi, z nieco rozmytym przez deszcz makijażem, marszczyła czoło tak, że jej brwi układały się w ostre łuki.

– Niech go pan zapyta, czy ma współników!

– Te, słyszałeś? – szturchnął go w plecy detektyw. – Sam tu jesteś?

Marek nie odpowiadał, więc mężczyzna zajrzał do jego plecaka, ale oprócz szczoteczki do zębów i kilku ciuchów nie znalazł niczego godnego uwagi. Żadnego dokumentu.

Przejechał dłonią po czubku jego głowy.

– Gadaj!

– Nie jestem złodziejem – wyjaśnił załamującym się głosem. – Puśćcie mnie! Wszedłem tu w nocy, bo drzwi na taras były uchylone... ja nic nie zrobiłem! Naprawdę. Chciałem się tylko przekimać.

– Oni zawsze tak mówią, droga pani – ryczał nad jego głową detektyw. – Kradną samochody, tłumacząc się miłością do motoryzacji, napadają na staruszki, a później gadają, że to konkurs zręczności, kij baseballowy to dla nich wykałaczką i tak dalej. Znam ten repertuar.

Kobieta pochyliła się nad chłopakiem, w dalszym ciągu marszcząc czoło.

– Ale on jakiś taki rachityczny – oceniła go.

– Jaki? Rachi... co?

– No, taki nieduży. Nie wygląda na złodzieja.

Detektyw szarpnął nim, jakby chciał wyrwać chłopaka z korzeniami. Na szczęście Marek nie był drzewem, choć opinia kobiety mogła temu przeczyć. Rachityczne bywają przeważnie rośliny. Jęknął i stanął na podłodze, przytrzymany przez mężczyznę. Bał się. Wreszcie go ujrzał – zwalistego typu o rzednących włosach mokrych od deszczu, przylepionych do głowy, o czerwonym nosie oraz bystrych, choć zmęczonych oczach. Mężczyzna miał na sobie zamszową marynarkę, która na oko była starsza od chłopaka. Zarost na puciołowatej nieco gębie też miał swoją kilkudniową historię. O rany! Już widział tego faceta. I to całkiem niedawno.

Nie był to typ ani wysportowany, ani elegancki, lecz z pewnością nadrabiał w życiu sprytem i doświadczeniem. Posiadał też w ręku argument sprawiający, że słuchano go bez szermowania. Stał bowiem przed nim z wyciągniętym z kabury pistoletem.

– Faktycznie, mizerniutki – stwierdził detektyw, zmierzwszy chłopaka wzrokiem od stóp do głów. – I dzięki temu wszędzie wejdzie. Dla złodzieja niski wzrost to dar. Zresztą kurduple bywają groźne. Napoleon też nie był wysoki, a trząsał całą Europą. To samo Hitler. I Stalin. Te, ile masz lat? Nazwisko! No, mów szybko, szczeniaku!

– Bonaparte – wymamrotał z wściekłością Marek, dotknięty do żywego ostatnią uwagą o wzroście.

– Podskakujesz? Zaraz ci się odechce żartów, jak pójdziemy na posterunek!...

Nagle detektyw zamilkł. Cicho jęknął i odstał od chłopaka. Na jego twarzy pojawił się grymas nieznośnego bólu, rękę zaś położył na sercu. Ten rosły mężczyzna skurczył się w sobie, a na jego czoło wystąpiły kropelki potu. Zachowywał się jak ktoś, komu brakuje powietrza i za chwilę wyzionie ducha.

– Co się panu stało?! – przeraziła się jego towarzyska. – Panie Juliuszu! Słyszysz mnie pan? Panie Barber!

Detektyw zignorował jej troskę i uporczywie szukał czegoś w kieszeniach marynarki, nie przestając ciężko dyszeć.

– Serce... – wydusił z siebie wreszcie. – Wieńcówka. Gdzie moja nitrogliceryna?

Facet się dusił. I wtedy Marka olśniło.

– Spray! – rzucił w stronę kobiety. Powiódł oczami po swojej kurtce, wskazując wymownie boczną kieszeń. – Mam go! Proszę go wyjąć! Szybko! Jest w mojej kieszeni!

Detektyw zacisnął z bólu oczy i osunął się na kolana, lecz zdążył jeszcze wykonać rozpaczliwy ruch ręką.

– Nie! – powstrzymywał kobietę. – Proszę tego nie robić... uuuh... nabiera panią. To podstęp!

Sama nie wiedząc dlaczego, nie posłuchała ostrzeżenia doświadczonego łapsa. Może dlatego, że chłopak był skuty kajdankami. Zrobiła zatem odważnie krok do przodu i włożyła rękę do jego kieszeni. Wyjęła z niej spray i podała go szybko detektywowi.

Mężczyzna włożył ustnik między zęby i nacisnął nerwowo kapturek dozownika. Kilka razy nabrał w płuca powietrza zmieszanego z lekarstwem, a następnie, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, odprężył się. Zaczął głęboko i równomiernie oddychać, a jego twarz stopniowo jaśniała ulgą. Odgarnął rzadkie włosy z czoła, podrzucił kilka razy pojemnik w dłoni i spojrzał na Marka z zainteresowaniem. Wcześniej jednak zwrócił się do swojej pracodawczyni z pretensją w głosie.

– Prosiłem panią... mówiłem, że nie lubię tego imienia.

– Ależ człowieku, uratowałam panu życie! – zdenerwowała się. – A właściwie to zasługa tego gówniarza... a pan tu gada o imionach. Czy pan w ogóle powinien zajmować się tą sprawą? – zaniepokoiła się. – Ma pan chyba stan przedzawałowy. Musi się pan zbadać.

– Kardiolog już obejrzał moją pikawkę – mówił z wysiłkiem, wycierając pot z czoła. – Najchętniej wysłałby mnie na emeryturę. Bez obawy, droga pani. Nitrogliceryna zawsze pomaga. Już mi lepiej. I proszę nie mówić do mnie „Juliuszu”. Nie cierpię tego imienia.

Kobieta wzruszyła ramionami. Detektyw podszedł wolno do chłopaka.

– Skąd to masz? – zapytał, podrzuciwszy pojemnik z lekarstwem.

– Znalazłem w kuchni.

– W kuchni?

– No tak, w kuchni. – Młodzian posłał mu bezczelne spojrzenie. – To pańska nitrogliceryna. Przecież ja mam zdrowe serce. Bo pan tu był przede mną. Spray musiał panu wypaść. Znalazłem go i odruchowo zabrałem.

– A nie mówiłem, że złodziej – sapnął ze złością detektyw.

– O czym on gada, panie Barber? – zaniepokoiła się jego towarzyszką.

– Plecie, co ślina na język przyniesie. Przesłucham go, a pani niech już stąd jedzie. Potem zawiozę szczeniaka na policję.

– Proszę pani! – krzyknął Marek, wskazując głową detektywa. – Ten pan tu wcześniej był. Kiedy weszliście do domu, natychmiast poszedł do kuchni, bo chciał sprawdzić, czy nie zostawił tam nitrogliceryny.

– Cicho, smarkaczu! – zasyczał groźnie detektyw i złapał go za kołnierz. – Przestań zmyślać!

– Panie Barber! – fuknęła na niego klientka. – O co mu chodzi? Proszę to wyjaśnić. Pan tu wcześniej był, czy tak?!

Detektyw długo milczał. Mrużył oczy i głęboko zastanawiał się nad odpowiedzią.

– Panie Juliuszu!

– Już dobrze, dobrze – westchnął i puścił chłopaka. – Byłem tu i już. Tylko bez imion. Prosiłem.

– Pan tu był? Kiedy? I po co? Wynajęłam pana zaledwie dwa dni temu. Miał pan odszukać przyjaciółkę ojca, a pan włamuje się do jego willi? Ja... ja w takiej sytuacji rezygnuję z pańskich usług. Nie zapłacę ani grosza.

– Moment. Zaraz pani wszystko wyjaśnię. Byłem tu, bo założyłem, że ktoś z pani rodzeństwa wcześniej czy później przyjedzie i zacznie węszyć. Przyszedłem wczoraj i trochę się rozejrzałem. Niewykluczone, że znajduje się tu jakaś wskazówka, która naprowadzi nas na właściwe hasło.

– To czemu przyjechał pan dzisiaj ze mną? – zauważyła sprytnie.

– Prosiła mnie pani o to – wyjaśnił spokojnie. – Byłem tutaj późnym wieczorem, lecz dzisiaj chciałem rozejrzeć się za dnia i sprawdzić, czy nikt w nocy się nie włamał. Powinna się pani cieszyć. Mamy szczeniaka i ja już z niego wycisnę, co tu robi i dla kogo pracuje.

Zapisała komórką. Rozmowa się urwała.

– Karska. Barbara Karska. Słucham.

* * *

Detektyw złapał Marka za bluzę i odciągnął kilka kroków w głąb salonu.

– Coś ty za jeden? – zapytał przymilnie, patrząc prosto w brązowe oczy chłopaka. Zaraz jednak przestał być miły. – Trzymaj buzię na kłódkę, bo ci przyłożę, szczeniaku. Rozumiesz? Jak się nazywasz? Mów!

– Już mówiłem.

– Znowu zaczynasz – syknął. – Pojedziemy na policję i tam wszystko pięknie wyśpiewasz.

– A jak powiem panu, kogo tu jeszcze widziałem, to puści mnie pan?

– A kogo widziałeś?

– Powiem, jak mnie pan puści.

Barber ciężko westchnął.

– Na imię mam Marek – próbował załagodzić sytuację chłopak.

– Nie masz żadnej legitymacji.

– Nie mam.

– A skąd jesteś?

– Z Wrześni.

– Co tu robisz?

– Są wakacje. Zwiedzam, podróżuję.

– Inaczej: włóczę się? Dobra, jedziemy na policję. Pewnie rodzice martwią się o ciebie.

– Ja nie mam rodziców – wzruszył ramionami Marek.

– Sierota?

– Dlaczego od razu sierota? – zaperzył się chłopak. – Ojciec zmarł, a matka ma innego gacha. Nie lubię go.

– Znam te sprawy – kiwnął głową detektyw. – Pewnie i on cię nie lubi, co? No, ten gach twojej matki.

– Zgadł pan, panie Juliuszu.

Detektyw spiorunował go wzrokiem.

– Te, mały, nie podskakuj – pogroził mu.

– Przepraszam, chciałem powiedzieć: panie Barber. Naprawdę jest pan detektywem już dwadzieścia lat?

– Ano zleciało.

Mężczyzna obejrzał się, zerkając na szepczącą do telefonu komórkowego kobietę. Słyszac pojedyncze słowa, próbował zrozumieć, o czym rozmawia.

– To jak, panie Barber? – wyrwał go z zamyślenia chłopak. – Proponuję taki deal...

– Jaki znowu dil?

– Interes, transakcja, układ! Deal! Nie zna pan tego słowa?

Nie uzyskał odpowiedzi, ponieważ Karska skończyła właśnie rozmowę. Była zamyślona, czoło zaś zmarszczyła jeszcze bardziej. Opanowała się dopiero wtedy, gdy detektyw znacząco chrząknął.

– Mamy spotkanie u notariusza – oświadczyła uroczyście, chowając telefon do kieszeni płaszcza. Ziewnęła. – Dzisiaj o jedenastej. U mecenasa Czaplińskiego.

– W sprawie?... – Zaciekawiony mężczyzna zawiesił głos.

– Chodzi o dodatkową klauzulę spadkową. Nie podoba mi się to wszystko, panie Barber. Oj, nie podoba. Myślałam, że to koniec niespodzianek, jakie przygotował nam ojciec.

– Będzie cała rodzinka? – dopytywał się.

– Wszyscy.

– Pięknie. Może wreszcie mecenas powie coś więcej o ko-chance waszego ojca?

– Nie wiem. Nic nie wspomniał. Musimy wracać do Poznania. Natychmiast. I trzeba coś zrobić z tym małym chłopcem!

Detektyw szturchnął Marka, dając znak, żeby milczał.

– Zajmę się nim. Trafi na posterunek. Proszę się nie obawiać. Teraz pojedzie pani do miasta, a o jedenastej spotkamy się u mecenasa.

* * *

Barbara Karska do Poznania pojechała swoim renault. Chwilę później detektyw z chłopakiem wsiedli do wiekowego poloneza – rzeżeniem silnika błagającego swego właściciela o gruntowny przegląd – i z posesji wjechali w las. Wąską ścieżką łączącą się nieopodal z drogą, obiegającą jezioro od zachodniej strony, dotarli w pobliże ośrodka sportowego i kempingu. Pełen namiotów teren, położony przy samym brzegu północnego krańca jeziora, nie tętnił życiem. Deszcz popsuł plany wszystkim – zarówno mieszkańcom Kórnik, jak i wczasowiczom. Po chwili jechali wolno szosą numer 431 w kierunku głównej arterii Kórnik, po lewej stronie towarzyszyła im pomarszczona tafla chowającego się za szpalerem drzew stalowoszaręgo zbiornika skrzyneckiego, po prawej zaś szumiał wilgotny las ochraniający od północnego zachodu Jezioro Kórnickie.

Kórnik to siedmiotysięczne miasteczko, położone w centralnej części województwa wielkopolskiego na Równinie Wrzesińskiej, wzdłuż jezior Rynny Kórnicko-Zaniemyskiej. Na terenie gminy Kórnik są polodowcowe jeziora: Skrzyneckie Małe, Skrzyneckie Duże, Kórnickie, Bnińskie i Borówieckie. W tutejszych lasach żyje wiele gatunków zwierząt, między innymi sarny, jelenie i dziki, a całą okolicę objęto ochroną ze względu na walory krajobrazowe.

Wciąż padało, choć nie tak mocno jak pół godziny wcześniej, wycieraczki dawały z siebie wszystko, efektownie

popiskując. Po kilku minutach jazdy zbliżyli się do skrzyżowania z ulicą Poznańską. Tuż za nim znajdował się miejscowy posterunek. Jednakże Barber zwolnił. Oto bowiem w uliczce przyległej do budynku policji zauważył zaparkowane wiśniowe renault Barbary Karskiej.

– Ożeż ty kartofel! – wyrwało mu się.

„Co za nieufne babsko – pomyślał. – Sprawdza mnie, czy naprawdę przywiozę chłopaka na policję”. Zahamował i zawrócił na szosie.

– Co pan robi? – zapytał Marek zdziwiony manewrem detektywa.

– Wracamy.

Zbył go. Nie chciał chłopaka wtajemniczać w swoje plany wobec Karskiej. Polonez skręcił szybko za ośrodkiem w lewo i pojechał na południe ulicą w kierunku Bnina¹.

Po kilku minutach jazdy skierowali się z powrotem na północ do Kórnika.

Znienacka ponad parkowym ogrodzeniem i koronami dorodnych drzew ukazał się szczyt zachodniej fasady zamku. Gdy wjechali na dziedziniec, ujrzeni pomnik Tytusa Działyńskiego obok schodów prowadzących do mostu przerzuconego nad fosą okalającą zamek. Oczywiście detektywa nie intere-

¹ Bnin – dawne miasto królewskie położone między jeziorami Kórnickim i Bnińskim, z ratuszem barokowym z połowy XVIII w. i kościołem poewangelickim wzniesionym w 1827 r.; na półwyspie Jeziora Bnińskiego znajdują się dwa grodziska.

sowała budowla. Ledwo rzucił na nią okiem i myślami powrócił do sprawy ojca pani Karskiej.

– Neogotycki – szepnął chłopak zauroczony widokiem zamku. – Neogotyck angielski.

– Że co? – zerknął na Marka detektyw. – Aaa... o zamek ci chodzi? Tak, bardzo ładny. Wybudował go Tytus Działyński, ten z pomnika.

– Niezupełnie. Postawił go Mikołaj Górka około 1430 roku, a w 1676 roku sprzedano Kórnik wraz z zamkiem Zygmuntowi Działyńskiemu. Tytus Działyński przebudował zamek z pomocą niemieckiego architekta, Karla Friedricha Schinkla. Dopiero w 1839 roku.

– Może i tak – mruknął mężczyzna.

– Tak napisali w przewodniku.

Polonez zostawił z tyłu neogotycki zabytek klasy I i wjechał w niską zabudowę miasteczka. Nie pomknął dalej w stronę posterunku. Zatrzymał się w rzędzie aut na poboczu głównej ulicy, naprzeciwko masywnego kościoła postawionego z palonej, ciężkiej cegły.

– Mów – odezwał się detektyw. – Kogo widziałeś w willi?

– Nikogo – wzruszył ramionami Marek. – Tak tylko powiedziałem, żeby zyskać na czasie.

– Te, mały! – Mężczyzna pogroził mu palcem. – Nie zaczynaj znowu. Mnie nie przechytrzysz. Chcesz złożyć zeznania na policji? Proszę bardzo.

Barber przekręcił kluczyk w stacyjce i silnik poloneza zakaszłał zbuntowany.

– Już dobra, dobra. – Chłopak uczeplił się rękawa jego marynarki. – Okej, powiem panu, kogo widziałem. Ale i ja stawiam pewne warunki.

– Jakie? – Kpiący uśmieszek wykrzywił usta detektywa.

– Po pierwsze, nie wspomni pan więcej o policji. Po drugie, pozwoli mi uczestniczyć w dalszym śledztwie jako, powiedzmy, pański asystent. To pasjonujące, co pan robi! Też chciałbym być detektywem.

– Ty, mały, zgrywasz się? No nie, ruszamy na posterunek.

– Moment! Jeśli powiem pani Karskiej, że to pan stłukł szybę w drzwiach na tarasie, wyrwał klepki z podłogi i tylną ściankę z biurka, nie będzie chyba zadowolona, co? Jest zła na pana. Moim zdaniem pan nie umie otwierać zamków. Przyszedł pan do domu wczoraj, licząc, że znajdzie coś interesującego, a pani Karskiej wciśnie kit, że w okolicy grasują złodzieje...

– Naprawdę grasują – mruknął detektyw.

Barber zerknął na chłopaka ze szczerym zdumieniem, potem przygryzł wargę i przez chwilę dyskretnie mu się przyglądał. Niewysoki młodzian o brązowych oczach miał, jak to się mówi, łeb na karku. Inteligentny i wyszczekany smarkacz. Inny niż jego rówieśnicy, których Barber znał jak zły szeląg. Tacy nie potrafili odróżnić pałacu od zamku, a po przewod-

niki sięgali wyłącznie wtedy, gdy chcieli zabić muchę. Ten chłopak wyglądał na kujona, a nie na takiego, który wyrwał się z domu na pierwszy w życiu gigant.

– Dlaczego niby nie potrafisz otwierać zamków? – zmrużył oczy. – Po czym to poznałeś? W przewodniku napisali?

– Wydało mi się dziwne, że zauważył pan podważoną klepkę w podłodze. Pewnie sam pan ją podważył, gdy odwiedził wczoraj willę. Widziałem, jak pan opuszczał dom Karskiego. A kiedy pan odjechał, dostałem się do środka przez taras. W kuchni, tam gdzie wypadł panu spray z nitrogliceryną, zauważyłem uchyloną szufladę z narzędziami... znaczy się, szukał pan młotka i łyżki do podważania gwoździ. Właśnie te dwa narzędzia ułożono inaczej od pozostałych. Zdaje się, że ten Karski był pedantem, na pewno nie zostawiłby bałaganu.

– Mógł to zrobić ktoś inny. Ten trzeci.

– Mógł, ale pan był w willi przede mną, a ten trzeci zjawił się później.

– Kim ty jesteś, synku? – westchnął detektyw.

– No właśnie, po trzecie, niech się pan nie wtrąca w moje rodzinne sprawy – dodał z naciskiem chłopak. – Uciekłem z domu i już! Koniec, kropka. Niech będzie, że jestem sierotą! Tylko przy innych niech mnie pan tak nie nazywa. Nie lubię też, jak mówią do mnie „mały”. Dla innych mogę być pańskim wnukiem lub coś w tym guście. Wtedy pomogę panu z tym passwordem.

– Z czym?

– Odgadnąć hasło Karskiego z płyty CD. Przecież słyszałem waszą rozmowę w willi.

– Nie mogę – pokręcił głową niezadowolony detektyw. – To beznadziejnie śmieszny układ! Nie mogę. Mam jeździć z obcym dzieciakiem po Wielkopolsce? Mam się narażać? Jeszcze posądzą mnie o pedofilię! Nie. Nie będę słuchał jakiegoś wyrostka! Kim ty jesteś?! Sherlockiem Holmesem?

– Holmes to fikcja.

– Jedziemy na policję. Kpisz ze mnie, synku, a ja tego nie lubię! Już ja ci dam dil!

Polonez wyrwał do przodu, aż chłopaka wbiło w fotel.

– Stop! – krzyknął. – Okej, powiem, kogo widziałem przed willą!

– Mówiłeś, że w willi!

– Przejęczyłem się.

Mężczyzna zahamował. Polonez stanął niespodziewanie na ulicy, tamując ruch. Trąbiło na niego jakieś auto, po chwili inne w głębi ulicy dołączyły do tego koncertu. Juliusz Barber zachował olimpijski spokój. Zignorował ryczące za ich plecami samochody i długo oceniał prawdopodobność chłopaka.

– Dobra – wycedził wreszcie. – Wchodzę w ten dil.

2

Detektyw Barber nie lubił swojego imienia. Juliusz było dobre dla osobnika wrażliwego i delikatnego, poety, muzyka, lecz do zawodowego szpicla pasowało jak, nie przymierzając, pięść do nosa. Co tam imię! Detektyw nie przepadał także za swoim nazwiskiem. Barber! Dlaczego Barber, a nie Nowak albo Filuciński? – zastanawiał się często, sącząc piwo w barze „Radusia” nieopodal swojej kawalerki w Poznaniu. Niektórzy śmiali się z tego nazwiska, bo po angielsku *barber* znaczy podobno „fryzjer”. A tego mężczyzna pokroju naszego bohatera nie mógł spokojnie przełknąć. Detektyw Juliusz Fryzjer nie brzmiało nawet śmiesznie. To była karykatura nazwiska. Kpina z żywych. Prawdopodobnie kara za grzechy jego przodków. Swego czasu detektyw pogrzebał trochę w starych urzędowych aktach i ustalił, że dawny antenat z rodziny ojca pochodził z Anglii i pół życia spędził na Wyspach. Z kolei daleka kuzynka miała inną teorię na temat genealogicznych korzeni rodu polskich Barberów z Poznania – nazwiska na ucho anglosaskiego. Twierdziła uparcie, że nazwisko Barber wywodzi się z niemieckiego *barbar*, co znaczy ni mniej, ni więcej tylko „dzikus” lub „barbarzyńca” (dopiero potem dla niepoznaki zmieniono literkę „a” na „e”). Z francuskiego zaś *barber* to czasownik „nudzić” i to z kolei pasowałoby do teorii